Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 22.** Leszno, *dnia 28. Listopada 1840.*



Klecha.

Karykatury historyczne.

(Przez K. Wł. Wojcickiego.)

W szesnastym wieku zjawiły się u nas karykatury, które w krótce powszechnie znajomemi zostały. Najstarszą jest Klecha; po nim idzie Sowizrzał, ale ten zostawiwszy pamięć imienia swego w napisie na dwóch broszurach, wydatnego nie miał charakteru, lubo do najpóźniejszych dotrwał czasów, w znaczeniu wietrznika, czyli jak dawniéj mówiono postrzelonéj pałki: tę nazwę przywięzywano do młodzika niestatecznego, u którego z ust zawsze wyglądało wpogotowiu głupstwo, nie dla tego, aby mu brakowało rozsądku, ale że przez swoję prędkość, brak rozwagi i wychowania, dobrowolnie sam się go pozbawiał. A w tém znaczeniu Sowizrzał uchodził za Stanisława Augusta: bo stary Sowizrzał z czasów Zygmunta III. wypisawszy swoje imię na tytule gockiemi literami, śmieszył fraszkami często aż nadto tłustemi, i raz śmiało rzucił prawdę poetom współcze-

snym, jak wykradli wiersze Janowi Kochanowskiemu. (1)

Po tych idzie Albertus, który powstał z dwóch poematów nieznanego poety; wiersze te doznały przyjęcia tak wielkiego w narodzie, że się kilkanaście wydań doczekały, a takowego zaszczytu żadne z dzieł najgłośniejszych u nas niemiało. I zaprawdę, poznawszy tamte czasy dokładnie, przeniosłszy się w życie i myśli epoki, w której się zjawiły, ileż dowcipu, jaki wiersz płynny, ileż musiały obudzać śmiechu. Naśladowano Albertusa, i ztąd powstał Matyasz, już nie tyle zajmujący, niższy w dowcipie, jak zwykle proste naśladownictwo.

Kreśląc zarysy tych karykatur, szło mi jedynie o zachowanie prawdy; nic nie dodając swego, trzymałem się tych dzieł ściśle, które nam ich pamięć zachowały.

1.

Klecha. (2)

Rok 1553.

Do najdawniejszych karykatur historycznych należy Klecha; zjawił się on w pierwszych latach XVI. wieku, i dał początek późniejszéj karykaturze Albertusowi, bo Albertus był także Klechą. Ale w tym jedném imieniu „Klecha,“ potrzeba zebrać wszystkie charaktery wszystkich żyjących Klechów w onczas po wśiach; wszystkie ich zalety i wady, ażeby dobrze pojąć, co znaczyła pierwiastkowo karykatura pod ogólném nazwiskiem Klechy wprowadzona: gdyż późniéj niemal każdego Klechę Albertusem mianowano.

Klecha, we wśi ważna figura: był to albowiem śpiewak kościelny; uczył w szkole wiejskich żaków czytać, pisać i śpiewać, dzwonił na pacierze, leczył niewiasty, święcił domostwa wiejskie co tydzień wodą święconą; piekł opłatki, czyścił kościoł, zapalał świece, ubierał ołtarze, śpiewał w czasie nabożeństwa, a występnych straszył klątwą, wyklinał grzesznych, a na znak klątwy zapaloną zadmuchiwał świece. Był potrzebny plebanowi, potrzebny dla gospodarzy, bo uczył ich synów; potrzebny dla bab i niewiast wiejskich, bo babom dawał ziołka na słabość; do młodszych się zalecał, malując im pięknie wrzeciona. Był żonaty lub młodzieńcem, miał liczną dziatwę, albo był bezdzietny; zawsze pił dobrze, gracko wypróżniał czary. Leniwy do ciężkiéj pracy, wolałby śpiewać, lub żaki oszarpane uczyć, niż dzwonić, lub z pola snop przywieźć.

Spokojny Klecha siedział cicho na plebanii, niemyśląc o żołnierce, jak to zrobił późniejszy Klecha Albertus. W takiéj postaci Klecha wystąpił w jednym z najdawniejszych drukowanych dyalogów, Wita Korczewskiego (r. 1553), gdzie więcéj odwagi pokazuje, chcąc się pomścić zniewagi doznanéj od kmieci, niż późniejszy Albertus.

W dyjalogach późniejszych i komedyach wystawiano raz za bardzo mądrego Klechę, to znów za bardzo głupiego. Raz szołtys prosty przedrwiwa go, a Klesze brakuje dowcipu do zadworowania z wieśniacka; to drugi raz Klecha gra rolę filozofa, wyrzuca szlachcie pijaństwo, ciemięztwo chłopów, zbytek, marnotractwo, niechęć do nauk, głupotę.

Z radością zawsze witano czy w dyjalogu, czy w komedyi, czy w intermediach, Klechę: umiał on grać głupca, lub mędrca, żartownisia, lub pobożnego kościoła śpiewaka. Widzowie ówcześni z ubioru poznawali kochanego drużbę; występował Klecha poważnie w długiéj opończy, w pończochach i trzewikach ze wstążkami; późniéj dopiero, za zjawieniem się Albertusa, strojono go już z żołnierska w krótkiéj katance. — Ale nasz Klecha, że go nazwę dyjalogowy, niemiał nic wspólnego z okrzyczanym Albertusem. Stąpał on jak z rejestru, zwolna, poważnie, głos miał wydatny, donośny; szanowali go kmiecie, uwielbiał pan, bo go za pisarza do pisania listów używał, a prócz tego podziwiał w nim naukę, bo umiał więcéj po łacinie, niż dziedzic wśi szlachcic; miał i lekarza sławę.

Co chciano w téj karykaturze wyobrażić? opowiem:

Był Klecha obrazem, dla pokazania, jak mało uczony a pożyteczny człowiek zarobić co może; męczył się ucząc dzieci wiejskie czytać i pisać, początków łaciny, śpiewać pieśni pobożne, a głód go kurczył, zcierał czerstwość z oblicza. On dbał o porządek i ozdobę w kościele, pocił czoło uznojony, zwołując wiernych do modlitwy, śpiewał chwałę Panu, a kto inny zbierał za to zyski, i tuczył się za jego prace.

Klecha z nauki, któréj z trudem nabył, nic zdobyć niemógł; z początku choć używał szacunku, późniéj doznał wzgardy i pośmiewiska. Nie odbiegał od kufla, ale nie był nałogowym pijakiem; miał dowcip, i umiał go używać; mówił prawdę, lubo źle na tém wychodził. — Takie sprzeczności mieściła w swojéj osobie ta karykatura, z któréj w pół wieku niemal wyrobiono nową Albertusa: przecięż mimo to Klecha nieustąpił jéj miejsca, bo w komedyach z czasów Władysława IV. występuje jeszcze w całéj okazałości, a nawet jeden dyjalog w napisie nosi jego imię sławne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

(1) Patrzyć „Zoilus.“

(2) Mówią o Klesze dzieła: 1. Dyjalogi Wita Korczewskiego. 1563, 12. 2. Szkólna Mizerya, w dyjalog zebrana. 1633. 3. Komedya Szołtysa z Klechą. 1646. 4. Nieposполite ruszenie, albo gęsia wojna Jana Dzwonowskiego, z czasów Zygmunta III. 5. Fraszka Sowizrzała nowego,

Zimowa noc.

(Dalszy ciąg.)

„Teraz Państwu Dobrodziejstwu opowiem, co zrobił pewnemu modnemu kawalerowi, którego niewymienię, bo on był z tych, co to starzy ludzie zowią de bona fortuna, czyli galanto-golce, nazwę go po imieniu chrzesném pan Stanisław.

Miał kocz, pięć siwych koni, kamerdynera Francuza, furmana, Krakowiaka, i ciągle gadał o swoich wielkich majętnościach za Wisłą. — Widać, że słyszał o dzisiejszém przysłowiu przemienioném ze starego, że na Litwę trzeba jechać po rozum, a na Ruś po pieniądze, bo poduczywszy się w Wilnie, przyjechał do nas po żonę.

Wywiedział się dobrze, że siostrzenica pana Szuszkiewicza, panna Kunegunda, ma piękny posag brzęczącem złotem, zaczął tedy dojeżdżać do Biczowy.

Kawaler spodobał się pannie Kunegundzie, ale panu Szuszkiewiczowi to nie; z początku zaczął się prześmiewać z kawalera, który i modnie chodził, i modnie gadał, i wszystko modnie robił. Pamiętam, byłem raz, kiedy pan Marszałek recytował wiersze pana Stanisława do panny Kunegundy:

Zefirek dmuchnął supirów wonią,
Skrzydlaty Amor poklasnął dłonią;
Wyszła pasterka ślicznéj urody,
Jak Galatea, jak Nimfa wody.
Przybiegł i pasterz, na flecie nucił,
Miłosnym jękiem, powietrze kłócił:
Jam twój Sylf wierny, supiry ronię,
Daj Herkulowi Omfalii dłonie.

Panna Kunegunda utrzymywała, że to jest prawdziwa poezya, wyśmienity polski język, a kiedy wpadła w zapał, to dowodziła, że Kochanowscy, Trembeccy, swojemi wyrazami, czabany, burzany i tym podobnem, rażą ją jak obuchem, dodawała:

Pan Stanisław nigdy nie mówi niewiasta, tylko dama, to pokazuje dobry smak, wykwintne wychowanie.

Marszałek mówił:

„Ależ moja Kunegunda. Dama, to po francuzku, z resztą to dwuznacznik dama w warcabach; czemuż niemamy nazywać białe białem, czarne czarnem, jakżeż naprzykład powie na krowę albo na kobyłę?“

„„A jużciż wołowa siostra jedna, a druga rumaczka.““

Niebyło rady, panna Kunegunda koniecznie się uparła iść za pana Stanisława, i pan Szuszkiewicz już zdawał się na wszystko pozwalać.

Wtém dnia jednego z rana panna Kunegunda z panem Stanisławem przechadzali się po ogrodzie, aż tu ni ztąd, ni z owąd, dał się słyszeć ogromny wrzask: pies wściekły, pies wściekły!

Z tym wrzaskiem okazał się pies z zaziajoną paszczą, wprost leciał na miłosną parę, a za nim gnali w pogoń ludzie z kijami. Pan Stanisław pannę porzucił, i jednym susem za płot przeszkoczył. Panna zemdlała, a kiedy ją wujaszek ocucił, otwierając oczy, zapytała, zarumieniwszy się mocno:

A pan Stanisław?

Dał supira, i uciekł lekko jak Amorek.

Od téj chwili przywiązanie panny Kunegundy do pana Stanisława ustało; Marszałek powiadał, że miłość od jednego razu jak obuchem została zabitą. Pan Stanisław z wielką konfuzyą wyjechał z Biczowy, i już więcéj ani oczu tam niepokazał.

Otóż Państwo Dobrodziejstwo myślicie, że ta przygoda to tak sobie przyszła ni ztąd, ni z owąd, że ten pies wściekły to był prawdziwy, bynajmniéj to także była psota. Pan Szuszkiewicz, widząc siostrzenicę z panem Stanisławem w ogrodzie, kazał psu Kundysowi uwiązać pęcherz z grochem do ogona, i tak puścić wprost na przechadzających się, a ludziom gonić za nim z kijami; przestraszony pies jak wściekły leciał i oto cała awantura. Panna Kunegunda, jak się dowiedziała o prawdzie, wcale się niegniewała, i jak Państwu Dobrodziejstwu wiadomo, poszła za mąż za pana Chorążego Łatyczewskiego.

Pan Szuszkiewicz powiada często i dziś:

„Obuchem wykurowałem Kunegundę od amorowych supirek, i teraz mi za to dziękuje.“”

Prosiliśmy jeszcze księdza Jacka aby gadał; ksiądz Jacek zapijając mocną herbatę, bo z tęgim rumem, mówił daléj:

3.

„Jeszcze o wściekliźnie. — Pan hrabia Korowadzki, z tych to hrabiów galicyjskich, co to i na chustkach i na szkarpetkach każą sobie wyszywać korony hrabiowskie, przyjechał do Biczowy w odwiedziny do pana Marszałka. Pan hrabia był w dalekiém pokrewieństwie z panem Szuszkiewiczem; chociaż pan Szuszkiewicz powiedział na samym wstępie, że Szymon Korowadzki, dziadek pana hrabiego, urodzony z Salomei Szuszkiewiczownéj, był szlachcicem polskim, a nie obcym hrabią, jednak bardzo gościnnie pana hrabiego przyjął.

Pan hrabia był wielki elegant, do ubrania się potrzebował najmniéj cztery godziny, sznurował się jak panienka, nosił i kłęby i piersi watowane rosharem, zawsze się stroił jak figurka malowana, któremi to często Państwo Dobrodziejstwo wyklejacie parawany.

W kilka dni po przyjeździe pana hrabiego, był wielki bal u państwa Potockich w Pasiecznéj, zgromadzenie miało być bardzo mnogie, a przedewszystkiém spodziewano się wiele pięknych Podolanek i szykownych Wołynianek. Pasieczna, jak Państwo Dobrodziejstwo wiecie, leży na pograniczu Wołynia z Podolem, o pięć mil od Lubaru, a o cztery od Międzyborza.

Pan Szuszkiewicz postanowił tam zawieść pana hrabiego; hrabia tego dnia ubierał się siedm godzin, i tak był ubrany: jasno cieliste

spodenki, opięte i krótkie do kolana, pończochy białe jedwabne, u kolana wiązane sutemi fontażami, trzewiki lakierowane i spięte na złociste sprzążki; kamizelka z różowego atłasu, złotem haftowana w hrabiowskie korony, chustka biała, tęgo nakrochmalona i powiązana w jakieś motyle, na przedzie pospinana złotemi sfinxami o oczach brylantowych, rubinowych i szmaragdowych, fraczek zielony, papużego koloru, ze złocistemi guzikami w mat, na kamizelce łancuszek od zegarka i od lornetki, i pełno pieczątek, pierścionków i rozmaitych kalofiszów; na palcach sygnety, pierścionki i bieluteńkie rękawiczki; włosy ufryzowane, jak to nazywają modnie à la coq, i stósowany kapelusz; zapomniałem, że przy fraku miał wstążeczkę i krzyżyk bożograbski.

Było to na wiosnę, wszędzie ogromne wody porozlewały, a czas był piękny bardzo. Pan Szuszkiewicz z hrabią jechali spuszczonym powozem. Pan hrabia bał się ogromnym sposobem psa wściekłego, i mówił, że w Wiedniu doktorowie najbieglejśi utrzymują, iż niemasz lekarstwa na wściekliznę, a co gorsza, że ta się odkrywa nietylko w dziewięć dni, ale i w dziewięć miesięcy i w dziewięć lat nawet.

W drodze pan Szuszkiewicz wydobył jakąś flaszeczkę z lekarstwem, i zażył kilka kropel; hrabia zapytał:

„Co to jest panu Marszałkowi?“

„„Nic mi nie jest, ja to zażywam jako prezerwatywę.““

„Od czego?“

„„Widzisz, naśi prości doktorowie nie są tego zdania co wiedeńscy; oni mniemają, że wściekliznę można uleczyć często, a zawsze sprzeciwić się jéj rozwinięciu.““

„Cóż pan Marszałek ma wspólnego ze wścieklizną?“ i odsunął się hrabia od Marszałka.

„„Tylko się nielękaj, to nic, będzie temu z dziewięć miesięcy, jak mnie pies wściekły ukąsił w udo, natychmiast ranę kazałem wypalić gorącém żelazem, i ciągle przemywałem octem, a oprócz tego piłem ziele od Pilipona z Nachora z Pilip, moczone w wodzie, i chwała Bogu, nie wściekłem się; ale Pilipon kazał mi co nowiu księżycowego pić to ziele przez trzy dni; robię to jedynie przez ostrożność, bo wiem, że tego wcale niepotrzeba.““

Hrabia ciągle poglądał z pod oka na pana Marszałka, a pan Szuszkiewicz zagadywał to o tém, to o owém, żeby zaspokoić obawę hrabiego.

Już widać było Piaseczne, kiedy pan Szuszkiewicz zgrzytnął parę razy zębami, jakby mocno cierpiał. Hrabia jak na szpilkach siedział.

„Co jest panu Marszałkowi; może kazać stanąć?“

„„O to mała rzecz; troche mnie nudzi; to wczorajszy krupnik z półgęskiem; ale to przejdzie.““

Niemówił daléj, ale oczy coraz bardziej spochmurzał, i twarz jego jakoś się przeciągała.

Hrabia do furmana krzyknął: „Ruszaj!“

Furman zaciął konie, konie wyciągały ogromnego kłusa, a pan Szuszkiewicz coraz bardziéj zębami zgrzytał, jakby miał robaki; hrabiemu już włosy nie à la coq, ale szczeciną rosły na głowie.

Przed samą bramą piaseczańskiego zamku, co to jak Państwo Dobrodziejstwo wiecie, bardzo wystawny pałac wystawił pan Podkomorzy, taki, iż całą ludność z Piasecznéj możnaby tam pomieścić, rozlała się ogromna kałuża, tak duża, jak poleski bród, a grzęzka i błotnista, bo to zwyczajnie na gleju czarnoziemi.

Już pojazd wjechał w sam środek kałuży, kiedy pan Szuszkiewicz szczeknął jak pies: hau! hau! hau! i porwał się z miejsca.

Hrabia, jak się schwyci i da susa, tak z powozu, jak w dym w kałużę, i daléj szustać przez błoto w prost do dworu.

Przed krużgankiem byli prawie wszyscy goście, i kobiety i mężczyźni, bo to był piękny wiosenny dzień.

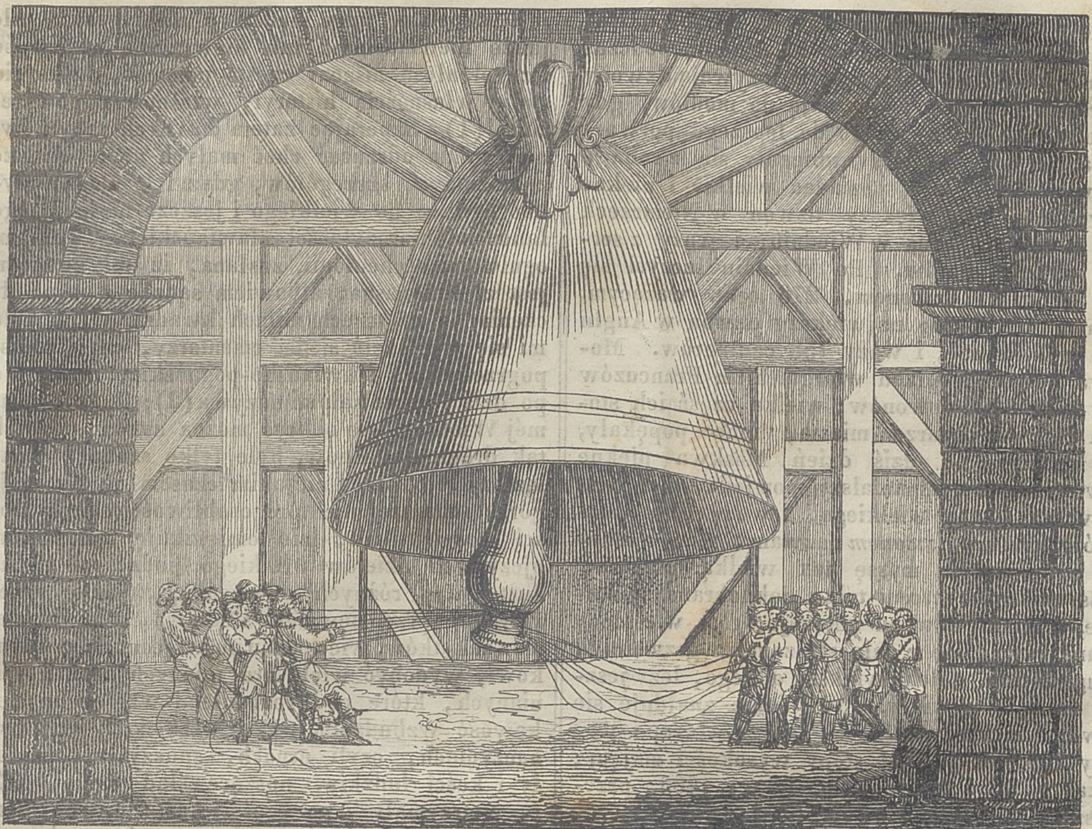
Hrabia, jak djabeł sklapany, zmoczony, wleciał na krużganek między ludzi, wrzeszcząc: „Wściekły! wściekły! ratujcie! Wszyscy się rozstępowali, a on leciał i dopiero padł w przedpokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Pan Szuszkiewicz zajechał tak śmiejąc się, że w boki się trzymał, żeby się niepoderwał. Jak opowiedział, tak wszyscy w śmiech, a biedny hrabia tak z przestrachu chorował, że ledwo nieumarł.“

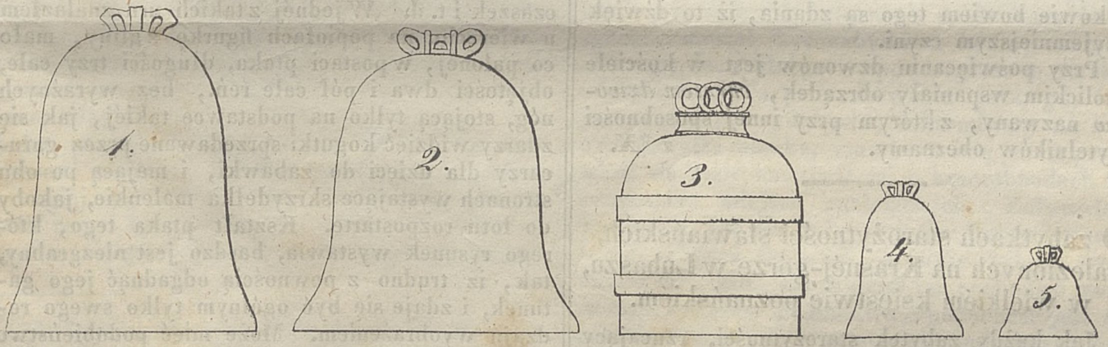
Tą razą ksiądz Jacek już niedawał się prośić, tylko popił herbatę, ma się rozumieć mocną, i daléj mowił:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dzwony.

Początku dzwonów w odległej starożytności szukać należy. W księgach Mojżeszowych znajdujemy, iż kapłan najwyższy w dni uroczyste występował do ludu w sukni bogatéj, obszytéj u dołu dzwonkami. Rzymianie znali także już dzwonki; w Herkulanum i Pompei znaleziono ich kilkanaście. Ażeby po świątyniach używane być miały, niema śladu ani w piątém, ani w szóstém stuleciu: w tym bowiem czasie zwoływały wiernych do kościołów trąby, a po klasztorach obchodził cele zakonnik lub zakonnica uderzeniem młotka we drzwi, wzywając do modlitwy. W mieście Noli, w Kampanii, zaczęto w siódmym wieku lać dzwony takie, jakie dziś kościoły mają chrześciańskie. Ztąd sprowadził cesarz wschodni Michał w r. 862. dzwony do Carogrodu i kazał je zawiesić na wieży kościoła Ś. Zofii. Przy zdobyciu Konstantynopola przez Turków w r. 1453., gdy najdawniejsza świątynia chrześciańska, na meczet zamienioną





Dzwon, Iwanem wielkim nazwany, w Moskwie. (1)

została, zniknęły bez śladu wszelkiego. W kościele łacińskim używały dzwonów z początku same tylko klasztory; za ich dopiero przykładem poszły katedry i inne kościoły. Kroniki francuzkie powiadają, iż gdy król Franków, Lotar, wr. 659. Orlean miasto oblegał, biskup tamtejszy w dzwony uderzyć kazał, których dźwiękiem przestraszone wojsko, od oblężenia ustąpiło. W samych początkach, ponieważ kruszcowe dzwony bardzo były drogie, palono je dla uboższych kościołów z gliny; przy katedrach biskupich były jednakże bardzo kosztowne, a nawet znajdowały się lane z srebra. W naszych czasach zaprowadzono w Anglii i w północnych Niemczech, zamiast dzwonów, w kształcie trójkąta połączone pręty stalowe, które za uderzeniem młota, głośny bardzo dźwięk wydają.

Użytek dzwonów był bardzo rozmaity: zwołują nimi do domów bożych na nabożeństwo; dzwonią, gdy król, biskup, lub jaka znakomita

(1) 1. Kształt Iwana wielkiego. 2. Kolokol. 3. Wielki dzwon w Pekinie. 4. Dzwon w Erfurcie. 5. Dzwon oxfordzki.

osoba wjeżdża do miasta; słychać odgłos dzwonu, gdy zbrodniarza wiodą na śmierć; podczas pożaru lub jakiego nieszczęścia wzywają dzwony do ratunku; jęczą i wzywają do modłów, gdy kogo z Chrześcian śmierć do lepszego porwała życia. Bogate kościoły ubiegały się z sobą o pierwszeństwo, aby posiadać wielkie i piękne dzwony. — Największy dzwon w Niemczech jest u Ś. Szczepana w Wiedniu, i waży z sercem 514 centnarów. Po Wiedniu szczyci się tum erfurtski dzwonem, 276 cent. ważącym, ulanym w r. 1497; największy dzwon w Anglii jest w Oxfordzie, i waży 150 centnarów. Moskwa posiadała przed wtargnieniem Francuzów w r. 1812. 1706 dzwonów; wielka część ich stopiła się w pożarze miasta, inne popękały, ma przecież po dziś dzień Moskwa piękne dzwony, a najwspanialszy pomiędzy nimi jest na wieży Iwana wielkiego, i waży 1000 centnarów, *wielkim dzwonem* nazwany. Niepodobnaby było prawie massę tak wielką poruszać, Rossyanie więc sercem tylko, jak obrazek pokazuje, o ściany dzwonu uderzają; głos wielkiego Iwana równa się z dala słyszanemu grzmotowi. Drugi dzwon, daleko większy od tego, leży jeszcze na dole w wieży. W Pekinie znajduje się dzwon znacznéj wielkości, lany z żelaza, i ważący 125,000 ff., 14½ stopy wysokości mający; kazał go ulać cesarz Yong-lo w r. 1403., przeniósłszy mieszkanie swoje tutaj z Nankinu. — Różnego on jest kształtu od dzwonów europejskich, ma serce drewniane i otwór u góry, Chińczykowie bowiem tego są zdania, iż to dźwięk przyjemniejszym czyni.

Przy poświęcaniu dzwonów jest w kościele katolickim wspaniały obrządek, *chrztem dzwonów* nazwany, z którym przy innéj sposobności Czytelników obeznamy. *X.

O zabytkach starożytności sławiańskich, znalezionych na Krasnéj-górze w Łubaszu, w wielkiém księstwie poznańskiém.

Jak każdy zabytek starożytności, rzucający najmniejszy nawet promyk światła na odległe dzieje jakiego narodu, ważnym jest dla ich badacza: tak odkrycie choć małego pomnika na rodzinnéj ziemi, przypominającego przodków dawne obyczaje, tém jest ważniejsze, im bardziéj ciekawość odnosi w owe odległe, i pomroką niepewności pokryte wieki, z których prócz sławy i dzielności imienia ojców naszych, mało co doszło nas o nich wiadomości, mało co pamiątek. Pamiątki takie prawdziwym powinny być skarbem, nieocenioną puścizną każdemu miłośnikowi ojczystych dziejów; bo ileżto zapełnić mogą próżnych w nich miejsc, ile błachych odrzucić domysłów i przedmiot nie jeden we właściwém wystawić świetle! Wszakżeż czasem najmniejsza na pozór okoliczność zdolna jest zupełnie inny nadać obrót rzeczy! Ale jakże niewiadomość lub niewczesna gorliwość i zagorzałość niszczy często pomniki, które się stały własnością historyi, własnością powszechną! (1) Szperając zatem dawnych zabytków, niewypada odrzucać choć małych na téj drodze znalezionych szczegółów, gdyż i te mogą przydać ogniwo do wielkiego i jeszcze niespojonego łańcucha starożytności sławiańskich. Takiemi ogniwami archeologii, zasłana, iż tak powiem, jest ziemia nasza; albowiem sądząc z doświadczenia, iż na trzech milach kwadratowych dało mi się wyśledzić siedm cmentarzy, czyli miejsc pogrzebowych sławiańsko-pogańskich, które lud po dziś jeszcze żalami nazywa (2); ileżby w saméj Wielkopolsce odkryć można ustroni pełnych tak drogich skarbów, byle tylko szukać. Znalazłszy tedy przed niejakim czasem na Krasnéj-górze łubaskiéj niektóre osobliwości starożytności sławiańskich, nie omięszkuję miłośnikom ojczystych dziejów krótkiego podać ich opisu. Jużto przy różnych zdarzeniach, jużto przez umyślnie przedsięwzięte śledztwa, zdarzyło mi się z zakątków, wiecznemu poświęconych spoczynkowi, wydobyć wiele urn i innych naczyń glinianych, które pod rozmaitemi względami ciekawość wzbudzają. We wszystkich wielkich naczyniach, czyli urnach, spoczywały popioły i kości ludzkie, noszące ślad ognia, który wytrzymały i po części kształt swój pierwiastkowy, jaki od zupełnego zniszczenia zachowały, n. p. całkowite zęby, części żeber, czaszek i t. d. W jednéj z takich urn znalazłem u wierzchu na popiołach figurkę z gliny, mało co palonéj, w postaci ptaka, długości trzy cale, objętości dwa i pół cale reń., bez wyraźnych nóg, stojącą tylko na podstawce takiéj, jak się zdarzy widzieć kogutki sprzedawane przez garncarzy dla dzieci do zabawki, i mającą po obu stronach wystające skrzydełka maleńkie, jakoby do lotu rozpostarte. Kształt ptaka tego, którego rysunek wystawia, bardzo jest niezgrabny, tak, iż trudno z pewnością odgadnąć jego gatunek, i zdaje się być ogólnym tylko swego rodzaju wyobrażeniem. Może mieć podobieństwo do ibisa, a nawet do kaczki lub gęsi, dla tego,

(1) Niezliczone w tym względzie przytoczyćby można barbarzyństwa, które lada pozorem starają się usprawiedliwić. Tak, dla zapobieżenia zabobonom, zrujnowano w r. 1719. kaplicę, wystawioną na pamiątkę zwycięztwa i walnéj bitwy pod Tannenbergiem stoczonéj. Przed niedawnemi czasy legło w gruzach, lub zniesiono umyślnie wiele świątyń na ziemi naszéj, z którem wane łączyły się wspomnienia i wypadki. Co więcéj, dla odświeżenia budowli, nawet, aby starożytności czułego nie raziły oka, zasmarowano wiele pięknych rzeźb i malowideł, nietylko historyczną mających wartość, ale z ręki mistrzowskiéj pochodzących. Tak znikają często dla urojeń ludzkich pomniki wielkości, sławy i przemysłu!

(2) Miejsca te są w tutejszéj parafii przy wsiach: Łubaszu, Ciszkowie, Mikołajewie, Górze, Stajkowie, Sokołowie, Miłkowie.

iż ma płaski i szeroki dziób i ciało prócz nóg do tych ptaków podobne. Ogon zdawał mi się umyślnie być złamanym; gdyż będąc tak grubym prawie, jak ciało, nie powinienby się od ciężaru ziemi, lub jakiéj innéj przygody tak łatwo skruszyć, jak łatwo się mogła ułamać, n. p. szyja, daleko cieńsza i wysmuklejsza. Kopacz wydobywający z urny z podziwieniem tę figurkę, nazwał ją skrzatkiem, ale nie mógł dowieść swego twierdzenia. Jaką rolę to wyobrażenie ptaka w urnie odgrywało, trudno zpewnością oznaczyć. Już uważając podobne odkrycia w krajach ościennych narodów pogańskich, a nawet w Egipcie przy mumiach, i winnych miejscach poczynione, możnaby wnieść, iż figurka ta mogła być geniuszem śmierci, lub sławiańskiém jakiém niższego rzędu bóstwem, opiekującém się duszami zmarłych, jak n. p.: Wieleną Zmudzinów, lub bożyszczem domowém jakiéj familii, które od popiołów nawet nieodstępnem i po śmierci chciano uczynić, jakową to godność piastowali u Rzymian, n. p. Lares patrii.(3). Zwyczaj podobny nawet napotykamy u Chrześcian, dawania krucyfixu zmarłym do trumny, jako godła nieustannéj miłości i przywiązania do Zbawiciela. Być mogło także bóstwem opiekuńczém tutejszego jeziora i rybitwów, jak n. p. bożek Antimp lub Perdoitus. Z resztą jakiekolwiek z wyobrażeniem tem łączy się znaczenie, zawsze będzie rzadkiem i dla historyi starożytności sławiańskich interessownem odkryciem. — W innéj urnie, wykopanéj także na Krasnéj-górze lubaskiej, znalazłem pomiędzy popiołami i kośćmi kółko miedzianne z czterema promieniami, ze środka do obwodu idącemi, jak rysunek wystawia. Kółko to dość niezgrabnie lane, zdawało się być czerwono malowane, lecz kolor pochodził zapewne od ognia, jaki wytrzymać musiało. Z jednéj strony jest wypukłe, z drugiéj zupełnie płaskie; ma średnicy półtora cala reń. i było może jaką ozdobą lub talizmanem zmarłego. W innéj znów urnie kształtnéj i różnemi paskami przyozdobionéj, znalazłem koral szklanny, koloru niebieskiego, na wylot przewiercony, mający podobieństwo do maliny, jak go w naturalnéj wielkości rysunek wyobraża. Służył on zapewne za ozdobę jakiéj piękności sławiańskiéj, i był może drogo okupionym klejnotem. Przed kilku tygodniami przy kopaniu grobu, znaleziono na tutejszym cmentarzu obok urn, miseczkę glinianą, na któréj trzy także gliniane nieco palone, jedno od drugiego kolejno mniejsze kółka, czyli raczéj krążki leżały. Największy z nich ma średnicy trzy i pół cala reń., najmniejszy zaś trzy i jednę czwartą cala; w środku są wydrążone, na kształt krągu, do gry przez młodzież wiejską zwykle używanego, lecz nie są doskonale okrągłe. Rysunek wystawia te krążki w stanie, w jakim były w ziemi zachowane i każdego kształt z osobna. Jakie ich było przeznaczenie, trudno tego dociec i próżno silić się na domysły, i nudzić niemi Czytelnika; ztąd lepiéj zostawić wyśledzenie tego biegłym badaczom starożytności sławiańskich, lub z porównania podobnych zabytków u ościennych narodów wywieść ich znaczenie. We wśi Mikołajewie, do tutejszéj parafii należącéj, wykopano w kilku miejscach przy urnach wędzidła końskie, sprzączki żelazne różnéj wielkości, lecz bardzo już od rdzy zepsute. Do osobliwości także na cmentarzu tutejszym znalezionych, policzyć można szkielet koński, który przy kopaniu grobu obok urn wydobyto. Zachowany był w bliskości kościoła, w piasku około czterech stóp głęboko; a z budowy kości sądząc, musiał być zabytkiem konia, wzrostu miernego lecz silnego. Spostrzegłem to rzadkie odkrycie dopiero po pochowaniu ciała, gdy kopacz zaraz po wydobyciu, uskromiwszy na bok owe szczątki rumaka, z markotnością potém przyszedł do mnie oznajmić mi o kontrabandach na święconém miejscu znalezionych. Żałowałem mocno, iż już nie było pory do obszerniejszego w tém miejscu śledztwa, a może byłoby się i więcéj znalazło. Ze szkielet ten pochodzić może jeszcze z czasów pogaństwa, podobnem jest do prawdy: bo jeżeli w urnach niezamkniętych kości się dobrze tak długo przechowały, toć i szkielet ten przechować się mógł. Na jaką zaś pamiątkę koń obok urn mógł być umieszczony? Rzeczą jest wiadomą, iż przodkowie naśi mieli zwyczaj z popiołami nieboszczyków, i to wszystko chować, cokolwiek najdroższego i najmilszego było im za życia, sądząc, że dusze po śmierci tem wszystkiem się jeszcze zajmują i cieszą. Tak nie wspominając o poświęcaniu się przywiązanych żon do swych zmarłych małżonków, iż się żywcem razem z nimi palić kazały; kładziono do grobu im miecze, oszczepy, strzały, siodła, konie i t. d., które czasem w podobnych śmierci siedliskach znaleść się zdarzy. Kazałem kości te ułożyć w pewném miejscu, w ogrodzie, aby przy zdarzonéj sposobności za-

(3) Zwyczaj dawania zmarłym takich figurek, czyli bożków domowych, zrobionych z gliny, drzewa, wosku lub kruszcu, był n. p. u Egipcyan, jak o tém wspomina J. Passalacqua w swojém dziele: „Catalogue raisonné historique des antiquités en Egypte.“ Paris 1826, pag. 123 i 145. Prof. Denso w swych listach traktujących o osobliwościach natury i sztuki, I. 86, wspomina także o jedném, trzy cale długim, a jeden cal grubém popiersiu ze surowéj gliny, znalezioném w Pomeranii w urnie kilka łokci głęboko w ziemi. — Fr. S. Bock w swojém dziele: „Von den in Preußen befindlichen Labyrinthen, Denksäulen und Grabhügeln, wie auch von den in der Erde gefundenen Alterthümern,“ na karcie 581. liczy znalezienie bożyszczów do wielkich osobliwości, i takich trzy mu znane były. Jedno znalezione przy urnach w r. 1664. w Hagelsbergu; drugie dwa mają się znajdować obecnie w Królewcu, z których każde około 3 cale wysokie; co zaś wystawiają i jakie mają znaczenie, niewiadomo. Z tych jedno znaleziono w Stockheim, drugie niedaleko Heiligenbeil w Prusiech, w grobowcach przy urnach.



Urny i inne naczynia gliniane, znalezione na Krasnéj-górze w Lubaszu.

sięgnąć zdania jakiego znawcy ras końskich; lecz w kilkanaście dni potém z podziwieniem mojém spostrzegłem, iż już ich niebyło i zapewne powędrowały do jakiéj fabryki cukru, aby po tysiącu lat swego spoczynku i po tak długiéj walce ze zniszczeniem, stać się wreszcie spekulacyi handlowéj przedmiotem.

X. D.

O wydaniach dzieł historycznych przez Edwarda hr. Raczyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Mniejsza o to, czy to dzieło właściwie historyą nazwane być może. Styl jego i zdania zupełnie czasowe i miejscowe, nakoniec wejście w drobniejsze szczegóły, bardziéj go do pamiętników zbliżają. Ale tém lepiéj dla nas; lepiéj, że pisał współczesny, z całym owego wieku kolorytem i przesądami. Nie nadto szczegółów, owszem za mało ich jeszcze tu widzimy, któreby nam wszystkie działające osoby dramatycznie wystawić mogły. Tymczasem bądźmy i za to wdzięczni, których nam autor i wydawca nie skąpo udzielili.

Tu bowiem znajdzie Czytelnik niektóre nieznane jeszcze szczegóły o wojnie z Kozakami; o wtargnieniu Karóla Gustawa do Polski; o układach Wielko-Polan pod Ujściem, i o innych przeniewierstwach wojska polskiego; o obronie Krakowa pod Czarnieckim, o oblężeniu Częstochowy (nowe i wielce ciekawe fakta); daléj o konfederacyi tyszowieckiéj, i wskrzeszeniu męstwa Polaków; o cofnieniu się z Polski Karóla Gustawa; o Wychowskiego usiłowaniach zbliżenia Kozaków do interesu polskiego; o Czarnieckiego wyprawie do Danii, o rokowaniach i traktacie w Oliwie; o zwycięztwach Czarnieckiego i Lubomirskiego nad Rossyanami; o konfederacyach wojskowych (wielkiéj nauki obraz); o popieraniu przez króla i królowę projektu elekcyi za życia monarchy, i o wynikłéj z tego wojnie domowéj; na koniec o śmierci królowéj Ludwiki, i abdykacyi króla Kaźimierza, która tu najszczegółowiéj jest opisana.

Atoli wielkie są przerwy w téj kronice, i widocznie, że z upływem czasu wypaść musiały te części i zniknąć z rękopismu. I tak n. p. niedostaje drugiéj części roku 1651., a w niéj wielkiéj bitwy z Kozakami pod Beresteczkiem; daléj drugiéj połowy roku 1626., a w niéj zdobycia Warszawy przez Polaków; połączenia wojsk brandeburgskich ze szwedzkiemi; trzydniowéj bitwy pod Pragą; wpadnienia Gąsiewskiego do Prus i t. d., pierwszéj połowy roku 1666., któréj nawet data o kilka kart za nisko jest położona; nakoniec niedostaje ważnego w roku 1667. traktatu andruszewskiego, w którym prowincye zadnieprskie ustąpione Moskwie zostały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)